ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK V POZNAŃ CZERWIEC 1935 NR. 6 (45)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

ALFONS SZYPERSKI:

W MIŁOSŁAWIU

WSPOMNIENIE O WŁADYSŁAWIE KOŚCIELSKIM

W dużym marmurowym hallu, wyłożonym ponad wysokością piętra wspaniałemi gobelinami, zauważam oryginalny turecki stół, tureckie krzesła, stary zegar, wzorzyste dywany, a pod drzwiami jakby na straży stojącego lokaja — niedźwiedzia z niemałą tacą w objęciu kudłatych łap. Sam hall, efektowny i reprezentacyjny, wymagałby osobnego opisu, na co jednak nie mam czasu, bo już służący oznajmia mi o powrocie z kościoła pani zamku.

Wyobrażałem sobie, że znów poznam osobę, stąpającą na koturnach wielkopałacowej sztywności, ale jak mile rozczarował mnie niespodziewany zawód. Nadeszła pani .. promienista, jak ją niezwykle trafnie nazwał Kornel Makuszyński. Warszawianka przemiła, miniaturka klasycznie rzeźbiona, żywa i uprzejma, całą szczerość swych uczuć entuzjazm dla piękna, którego ucieleśnieniem był i jest zamek miłosławski, pragnie przelać w serce przybysza, co chce odetchnąć duchem tego zapału do sztuki, którym byli przepojeni Seweryn Mielżyński oraz Józef i Władysław Kościelscy. Choć duży klucz posiadłości ugina się dziś jak wszystkie fortuny ziemskie pod ciężarem molocha kryzysu, rezydencja miłosławska, sławna ostoja poetów, pisarzy i malarzy polskich promieniuje nadal na całą Polskę.

Pani Władysławowa Kościelska kontynuuje bowiem wielkie dzieło kulturalne śp. męża, którem jest przedewszystkiem Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska" w Warszawie. Cały katalog arcydzieł poetów i pisarzy polskich i obcych, a zwłaszcza dwa monumentalne albumy dzieł malarskich Wyspiańskiego i Michałowskiego — oto tytuły do trwałych zasług Instytutu, będącego rodzajem fundacji społecznej Kościelskich.

Już od roku 1911 wydawał Władysław Kościelski w Krakowie razem z L. Morstinem pismo literackie „Museion", gdzie ogłaszał też własne wiersze i przekłady poezji francuskiej, a podczas wojny zorganizował i finansował w Monachjum „Polnische Bibljothek", mającą na celu zapoznanie społeczeństwa niemieckiego z życiem polskiem i jego literaturą. Po wojnie wreszcie, od r. 1921 wydaje przez dwa lata w Warszawie „Nowy Przegląd Literatury i Sztuki", poczem znany „Przegląd Warszawski".



Władysław Kościelski

Był to człowiek unikający wszelkiego rozgłosu, bystry organizator, wyszukany opiekun talentów malarskich i poetyckich, człowiek rozkoszujący się pięknem i żyjący w strefie ideałów.

Mimo tego astralnego spojrzenia na świat umiał praktycznie kierować gospodarstwem rolnem i je ulepszać, odczuwał realne potrzeby poddanych, którzy przedwczesną śmierć swego pana (w r. 1933, w 46 roku życia) boleśnie opłakali.

Władysław Kościelski, syn Józefa, wybitnej postaci politycznej i działacza narodowego, poety i dramaturga, odziedziczył po ojcu nietylko wrażliwość estetyczną, zamiłowania mecenasowskie i hojny gest kulturalny, ale także poważne zdolności poetyckie. Jego „Tercyny" wydane już po śmierci twórcy staraniem troskliwej żony, choć jeszcze przezeń do druku przygotowane, to testament jego głębokich rozmyślań o Bogu, życiu i śmierci. Niewątpliwie stanowią jeden z najdojrzalszych tomików poezyj, jakie się ukazały u nas w ostatnich latach, daleko swą pełnią myśli i doskonałością formy odbiegając od ekscentrycznego konstruktywizmu pustodusznych rymów. Kościelski jako tłumacz stworzył bodaj najlepszy (według prof. Łempickiego) polski przekład I części Fausta Goethego (r. 1926), poczem go jeszcze cyzelował, zawsze dopatrując się w swych utworach momentów niedoskonałości. Wszelką wogóle pracę wykonywał sumiennie z drobiazgową dokładnością. Wkrótce — jak mnie informuje p.Kościelska — ma się ukazać nakładem „Bibljoteki Polskiej" drugie wydanie tłumaczenia arcydzieła Goethego. Pierwszy tom poezyj pt.: „U brzegu ciszy" wydał w r. 1919.

Jak Józef Kościelski wspierał materjalnie prawdziwe talenty, że wy-

mienimy Kasprowicza, (któremu pomógł także w stworzeniu Harendy) i Przybyszewskiego, tak i Władysław użyczał u siebie gościny i środków malarzom i poetom. Niejeden obraz pozostał też na miejscu. W pięknej rezydencji miłosławskiej widzimy dziś w salonie sztuki dzieła malarskie Chełmońskiego (Staw, Anioł Pokoju), Siemiradzkiego, Brandta, Malczewskiego, Fałata, Weyssenhoffa, Włodz. Tetmajera, Axentowicza, Wyczółkowskiego, Stanisławskiego, szkice Matejki, Podkowińskiego, Chlebowskiego, Wywiórskiego i innych. Niebrak w Miłosławiu i licznych portretów rodzinnych (np. Axentowicza Józef Kościelski), dalej zbiorów najcenniejszej porcelany, mebli gdańskich i włoskich (pochodzących z zamku Bertholdstein w Styrji, własności Sefer-Paszy Kościelskiego, który tamże umarł), makat holenderskich i perskich, cennego zegaru (dar Napoleona III dla Sefer Paszy), podziwiamy chiński pokój, maleńkie cacko wschodniego smaku z minionych wieków itd.

Mówiąc o zbiorach zamkowych, nie można pominąć dużej bibljoteki Sefer-Paszy*) i JózefaKościelskiego, pracowicie uzupełnianej przez śp. Władysława, erudyty i bibljofila. Skrzętna wdowa z wielkim pietyzmem uzupełnia dziś katalogi, by księgozbiór z wartościowemi polonicami udostępnić badaczom, także w salonach obrazów widać pracę nad translokacją dzieł malarskich.

Jak w Bydgoszczy wykupił śp. Władysław Kościelski z rąk niemieckich duże zakłady graficzne, tak znów dla innych celów nabył w Warszawie stary, lecz stylowy dom ks. Anny Mazowieckiej, zupełnie zniszczony, który gruntownie odrestaurował tak, że dziś stanowi prawdziwą ozdobę miasta. Mieści się teraz w nim ambasada amerykańska (w pobliżu zamku).

Opuszczając rezydencję Kościelskich, rzucamy jeszcze wzrokiem na na 300 morgowy park, teren działań powstańczych w r. 1848, ozdobiony w r. 1899 pomnikiem J. Słowackiego, pierwszym i jedynym na ziemiach polskich. Akt jego poświęcenia, upamiętniony w literaturze przepiękną mową H. Sienkiewicza, gościa salonów miłosławskich, był wielką manifestacją narodową, bo w Miłosławiu niejednokrotnie zbiegały się nici akcji działań patrjotycznych na terenie Wielkopolski, której duszą i mózgiem był zamek Mielżyńskich i Kościelskich.

Historyczne fotografje z tego dnia apoteozy Króla Ducha narodowego oglądamy w zbiorach albumowych.

*) Stryj Józefa Kościelskiego, znany z szalonej odwagi generał turecki i dyplomata. Przez pewien czas kierował polityką egipską, zwłaszcza sprawą kanału Sueskiego. Sefer Pasza to jego wschodnie nazwisko (= Władysław Kościelski), pochodził z Kujaw. Był zarazem głównym agentem polityki ks. Czartoryskiego. — Listy Sefer Paszy przygotowuje do wydania Minist. Spraw Zagran.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

DWA LISTY ST. PRZYBYSZEWSKIEGO Z PARYŻA Z R. 1898

Autor „Mocnego człowieka" był w ciągu całego życia silnie przywiązany do swej rodziny. Szczególnie matka otrzymywała ze wszystkich miejsc pobytu syna gorące listy. Ojciec był przedmiotem serdecznych wynurzeń ze strony syna w tych okresach, w których chorował. Między innemi, rok 1898 był dla Józefa Przybyszewskiego feralny. Upamiętnił się też szeregiem gorących apelów, zawartych w korespondencji syna.

Również list do Antosia, bratanka poety, przebywającego w gimnazjum w Berlinie, tchnie wielką serdecznością. Adresat kształcił się na koszt Stanisława, z czasem, gdy mecenasowi-stryjowi pieniędzy nie stało, opuścił szkołę i z konieczności, zwykłą koleją rzeczy, zniemczył się. Dziś z trudem zaczyna zdobywać język polski i nawiązywać kontakt z kulturą dawnej Ojczyzny.

List I.

Mój kochany Antosiu,

Przedewszystkiem dziękuję Tobie jako i rodzicom za życzenia. Ale większej przyjemności nie mogłeś mi sprawić, jak przysyłając mi extemporale.

Widzę z tego, że się dobrze uczysz, a wiesz dobrze, jak wujo z tego się cieszy.

Z twojej cenzury byłem bardzo zadowolony, ale nie wątpię, że tą razą będzie jeszcze lepsza.

Tylko się ucz kochany chłopczyku, a to będzie dla wuja wielką pociechą i radością.

Uściskaj odemnie rodziców ucałuj Stefcię i Janię, powiedz ojcu, że do niego w tych dniach napiszę, a ucieszysz mnie, jeżeli mi czysto po polsku list napiszesz.

Widzisz, wujo teraz tylko pisze po polsku, a toby był wstyd dla wuja, gdyby jego bratanek nie umiał po polsku.

Ściskam Cię serdecznie
Twój
bardzo przywiązany
wujo
Stanisław.

Paryż, 25 Maja 1898.

List II.

Drodzy Rodzice,

Czemu tak długo nie otrzymuję wieści z domu. Niech mi mama często pisze, bo się o dom bardzo niepokoję.

Wysłałem dziś ojcu numer Życia a) który dziś odebrałem i dłuższą rozprawę o mnie w Głosie pod tytułem. Nowa sztuka.b)

Wiem, że Ojca to zainteresuje.

O pieniądze niech drodzy się nie niepokoją, bo w końcu maja lub w początkach czerwca nadeślę do domu większą sumę.

Leon pewnie już list odemnie otrzymał. Ja też spodziewam się niezadługo odpowiedzi z Krakowa.

Nie róbcie mu trudności bo zawód piękny, życie spokojne i szczęśliwe.

W Paryżu ustawiczne deszcze od miesiąca.

W przyszłym tygodniu nadeślę Wam fotografję mego portretu, c) malowanego przez Ślewińskiego. d)

Wczoraj jechał do Hiszpanji na studja natury. Strasznie to dobry i kochany człowiek. Ja też się wyniosę z Paryża niezadługo, muszę sobie poszukać odludnego miejsca, gdzie można pracować, bo tu w Paryżu jestem bardzo na wszystkie strony rozrywany.

Całujemy oboje drogim rodzicom ręce, serdeczne uściski dla Bolesia i rodzeństwa.

Wasze przywiązane dzieci

Dagny i Stach

Paryż, rue de l'Abbé de l'Epée 14.
26 maja 98.

a) krakowskiego które od 12. 10. 98 miał P. redagować.

b) Głos, tygodnik lit. społ. — polit. 1898. Art. Jana Zakrzewskiego, „Nowa sztuka" nr. 3, 4, 5 z 15, 22, 29 stycznia 98. Dość dokładne streszczenie myśli P. Z „Pro domo mea", wstępu do De profundis, porównanie z Strindbergiem i Munchem. Ton entuzjastyczny, pochlebny dla P.

c) Reprodukcja w posiad. Miriama Przesmyckiego.

d) Władysław Śl. — Tytus Czyżewski, Monogr. artys. XVIII, 1928.

BOGDAN DERESIEWICZ:

Z KARTEK TAJNEGO SZKOLNICTWA W B. ZABORZE PRUSKIM

Gdy we wrześniu 1933 roku ogłosiliśmy z bratem, Januszem, we Wiciach Wlkp. odezwę do wszystkich tych, którzy tajnie uczyli języka polskiego, aby wspomnienia swe do Redakcji Wici przysyłali — kierowaliśmy się tem, że dzieje tego tajnego szkolnictwa, które tak ważną rolę odegrało w uświadomieniu patrjotycznem b. zaboru pruskiego, nie mogą dzisiaj zniknąć w mgle zapomnienia, że te szare szeregi niezłomnych bojowników o niepodległość Polski, rozsiane po najdalszych zakątkach i — zda się — zapomnianych siołach wielkopolskich, przeważnie w żadne związki nie zrzeszone, nie zachęcane przez nikogo, wypełniając jeno wewnętrzy nakaz sumienia narodowego — że one właśnie zasługują na to, by pamięć ich czynu została utrwalona.

Apel nasz nie przeszedł bez echa; odezwały się, przysyłając obszerne sprawozdania, liczne pracowniczki i pracownicy na niwie tajnego nauczania z Wielkopolski: b. gimnazjaści, nauczyciele, nauczycielki, księża katoliccy, oraz dużo osób prywatnych, którzy w czasach „górnej" młodości tajnem „belferstwem" się parały. Przytoczmy kilka głosów z tej korespondencji dla scharakteryzowania rodzaju tej zakazanej pracy oraz przykrych warunków, w jakich się ona odbywała. Oto np. list znanej literatki wielkopolskiej p. Iry - Stablewskiej; nie wszyscy wiedzą, że ona to zajmowała się wraz z siostrami „nauczaniem katechizmu, czytania i pisowni polskiej" w maleńkiej wiosce Zalesie (w pow. kępińskim). „Początki były trudne" — pisze autorka. „Dzieci, nietyle krnąbrne ile nieokrzesane, wprost dzikie. Rodzice zacofani i nieufni. Ciężko było im wytłumaczyć, że w zamian za udzielanie lekcyj, niczego się od nich, prócz przychylności, nie żąda; później, gdy pojęli ważność sprawy, poprawił się na korzyść ich stosunek do pań uczących we dworze, aż zamienił w trwałą życzliwość i przyjaźń. Dzieci zaś — pisze p. Stablewska — zanim im się w główkach nieco rozjaśniło, przychodziły na lekcje niechętnie. W podjętem zadaniu, zasłużył nam się rzetelnie, choć metodą nieco obcesową, kamerdyner moich rodziców, Stanisław Staszak, urodzony w Zalesiu, który, jako analfabeta, biadał nad swojem nieuctwem, rozumiał potrzebę nauki języka ojczystego i w 40 roku życia, sam o lekcje się dopraszał. Obarczony licznem potomstwem, dzieci swoje do nauki przynaglał, a inne oporne gonił, chwytał i związawszy je sznurem, przyprowadzał na oficynę, gdzie dawałyśmy lekcje.

Trzeba było wystraszoną rabiatę przekupywać słodyczami i obietnicą sutej Gwiazdki, aby przeciwdziałać germanizacji, która nawet w czysto polskiej wsi, jak Zalesie, robiła zastraszające postępy. Dzieci na zapytanie: jak ci na imię? odpowiadały: Johann, Stanislaus, Adalbert.



Piotr Chmara *„Portret córki artysty" ol.*

— Johann? — mówiłam oburzona, czy jesteś Niemcem?

— Nein. Polak.

— A jak na ciebie woła matka?

— Oni wołają: Jasiu.

— No więc widzisz chłopyszku — pamiętaj, że tobie na imię Jaś — Jan — a nie Johann.

Wchodząc do uczelni, niejedno dziecko z przyzwyczajenia szeptało: Gelobt sei Jesus Christus — albo nauczone pobieżnie, nie potrafiło odpowiedzieć, ile jest przykazań boskich.

Na zapytanie: co to jest cnota? bywała odpowiedź: To jest wielga kareta.

A co pycha? — — Kiedy Antek mnie spycha do rowu.

Wielką trudność sprawiało nam, przy kaligrafji lub dyktandzie oduczyć dzieci od stawiania liter niemieckich obok polskich."

Toteż wierzymy autorce, gdy pisze, że „nie podobno, ani w setnej części przytoczyć spaczonych pojęć dziecięcych, lub dziwolągów językowych. Dziś — w obec odrodzonej Polski — i tylu lat ubiegłych — te udręki wydają się błahe — ale wówczas zamierało serce, na myśl, że młode pokolenie idące w życie, może stracić największy skarb narodu w niewoli — język ojczysty.

List ten jest przepięknym dokumentem zespolenia się dworu polskiego ze wsią; świadectwem, że ziściło się marzenie poety, „Z polską szlachtą, polski lud".

Przejdźmy teraz z kolei do tego, jak się przedstawiała praca nad tajnem nauczaniem języka polskiego po małych miasteczkach o kilku tysiącach mieszkańców, wybierzmy z tych miasteczek: Wrześnię. Widzimy bowiem w niej najbardziej systematyczną i najlepiej zorganizowaną sieć szkolnictwa tajnego, założoną i kierowaną przez jedną dzielną i wybitną jednostkę, rodowitą Wrześniankę, p. Marję Thielówne, obecnie p. pułk. Thielową z Doruchowa, w pow. kępińskiem. Odebrawszy staranne wykształcenie w ówczesnej Galicji, postanawia ona po powrocie do rodzinnego miasta użyczyć dziatwie wrzesińskiej tej polszczyzny, jaką się w Galicji ówczesnej nasyciła; pragnie dać przez to odpowiedź Niemcom na wyrok gnieźnieński, tak okrutny dla patrjotycznej Wrześni.

Bo w 3 lata już po sławnym strejku dzieci wrzesińskich „zaczęła uczyć u siebie w domu — jak pisze p. naucz. I. Krzyżagórska — kilkanaście dziewczynek i chłopców. Z wielką cierpliwością i miłością wpajała w nich znajomość literatury i historji polskiej". W ten sposób wytworzyła sobie p. Thielówna przyszłą kadrę kilkunastoletnich instruktorek (ów) jęz. polskiego w najszerszem tego słowa znaczeniu. Po wyszkoleniu tychże zachęciła nas — pisze p. I. Krzyżagórska, jedna właśnie z tych kilkunastoletnich instruktorek — do tworzenia kółek; odtąd

ona kształciła tylko sztarsze panienki i sztarszych chłopców, a my zbierałyśmy dziatwę małą; głównie garnęły się dzieci robotników, rzemieślników kupców, mniejmajętnych obywateli. Tworzyłyśmy gromadki od 4—6 uczni i uczyłyśmy czytania, pisania polskiego, wierszyków, poźniej historji i literatury polskiej i wypracowań. Z początku, my nauczycielki z łaski i pomocy Boskiej, same jeszcze do szkoły chodząc, uczyłyśmy dziatwę polską popołudniu; ale później po opuszczeniu szkoły kształciłyśmy przedpołudniem panienki starsze, by z nich wyrosły pomocnice, a popoł. młodzież szkolną. Każda z nas miała po 20—40 uczni i uczenic. A takie te malochy, — które nieraz na kolanach trzeba było podsadzać, by dosięgły elementarza — były zapalczywe w nauce, tak buzie i oczęta im gorzały, gdy mówiłyśmy o krzywdach, wyrządzonych narodowi polskiemu, że nam młodocianym nauczycielkom dusze rosły i sił przybywało. Panna Thiel raz po raz odwiedzała te tajne lekcje, sama egzaminowała i udzielała nam cennych uwag pedagogicznych. Głównem ogniskiem tajnej nauki był dom p. Thielówny, którą kochałyśmy całą duszą, czując, jakie skarby nam ona daje. Zapał był taki, że dziewczynki 11 lub 12-letnie już uczyły bądź to swoje rodzeństwo, służbę, bądź dzieci obce na tę samą metodę, co my. Uczyłam niektóre dziewczęta, mające 5 lat dopiero, ktore, gdy regularnie uczęszczały 2—3 razy tygodniowo na tajną naukę, to wówczas, jako dziesięcioletnie umiały płynnie czytać i opowiadać, poprawnie pisać, znały dobrze w krótkości historję polską i niejedno z literatury a wierszy narodowych kilkadziesiąt, a co najważniejsze pokochały Ojczyznę swą biedną poczuły się Polakami, zrozumiały obowiązek swój szerzenia tych promyków oświaty, którą one same odbierały, dalej, i tak coraz gęstszą siecią omotało się nasze miasteczko, by paraliżować ducha niemczyzny. Toteż patrząc na tę wrącą pracę około wskrzeszenia Polski — pisze p. I. Krzyżagórska — pomyślałam sobie: „Musi być Polska, gdy takie dzielne dzieci posiada". — Musiała być Polska — pomyślimy znowu my — gdy się Jej takie na kamieniu rodziły nauczycielki.

Przytoczmy tu jeszcze jeden głos o tajnem szkolnictwie, głos z miasta kilkudziesięciotysięcznego, mianowicie głos z Bydgoszczy. Tu w większym mieście nie mogła cała akcja tajnego nauczania skupiać się w rękach jednej osoby, jak to widzieliśmy we wiosce Zalesie, gdzie akcja szła ze dworu, kierowana przez p. Stablewską, czy w małej Wrześni, gdzie p. Thielówna zapoczątkowała i rękę trzymała na pulsie całej tej patrjotycznej roboty. W większych miastach, jak w Bydgoszczy, czy w Poznaniu, akcja ta była prowadzona jużto samodzielnie przez poszczególne osoby, bez oglądania się na drugich, skrycie, by uniknąć argusowych oczu policji wielkomiejskiej, bezwzględniejszej od małomiejskiego żandarma — już to przez grono osób, zrzeszonych w różnych tajnych organizacjach oświatowych. Oto co pisze — p. naucz. Eugenja Czarlińska — o swej pracy na terenie bydgoskim. P. Czarlińska, mimo że była nauczycielką w niemieckiem liceum prywatnem p. Dreger, uczyła — a było to w roku 1905/6 — potajemnie kilka dziewczynek — sierotek po polsku, czytać i pisać. „Dziewczynki te przychodziły b. chętnie, uczyły się z zapałem i zaczęły powoli sprowadzać koleżanki— Polki oczywiście.

Wkrótce jednak sprawa się wydała i p. Czarlińska została usunięta z liceum; od tego to czasu, tzn. 1909 r. oddała się już wyłącznie nauczaniu jęz. polskiego, historji i literatury polskiej. Chociaż nie było Jej wolno uczyć kilkoro dzieci naraz, to jednak przeważnie uczyła gromadnie po 5, 6 dzieci. Różny żywioł zgromadzał się na tych lekcjach bydgoskich. Miałam pisze autorka — dziewczynki i chłopców i ze szkół powszechnych i z gimnazjów, byli między nimi i zamiejscowi, którzy w Bydgoszczy byli na stancji i tu uczęszczali do gimnazjum, były i dziewczynki, córki gospodarzy z okolicy Bydgoszczy.

Smutny zaś był los tych nauczycielek, które nie doczekały zmartwychwstania Tej, o Której rozpalonym dziecięcym duszom opowiadały. Bo taki oto ustęp znajdujemy w liście p. Czarlińskiej: „Wspomnieć muszę tu o pannie Melanji Gońskiej, która przedemną, a jeszcze i za moich czasów trochę, udzielała tutaj potajemnie lekcyj polskich i wielkie na tem polu położyła zasługi. Była to bardzo zacna osoba i pełna poświęcenia. Dziś już dawno nie żyje, umarła, pewnie jeszcze przed wojną, *w nędzy w szpitalu;* niektóre rodziny polskie pamiętały o niej i wspierały w czasie choroby, zanosząc obiady itp...

Oto na chybił trafił wybrane głosy tych, którzy zcałem zaparciem i bezinteresownością i nadzwyczajną cywilną odwagą poświęcili się tej ciężkiej, a żmudnej pracy tajnego nauczania. I, jak pisze p. Iry Stablewska — „najmilszą i najwspanialszą nagrodą za podjęty trud jest dla nas to, że wielu z naszych uczni i uczenic wyrosło na dzielnych i pożytecznych ludzi.„

MARJAN TURWID:

KOLOROWA PLAMA

(Z CYKLU: SŁOWA NA PALECIE)

Purpurowa draperja w fałdy chłodu ścięta
drży na podium królewską tęsknotą rozpięta —

Trzeba zamknąć kolisko kolorowej gamy
soczystym tonem ciepłej, rozedrganej plamy.

Gdy rzucono na podium jasność twego ciała,
pobladłaś, — a draperja głębiej pokraśniała.

I już szarość na blejtram rozpięta nie dręczy —
rozerwane milczenie wielogłosem tęczy.

Gra paleta, jak pryzmat promieniem przebity —
pękła strzała słoneczna, jak noc pęka świtem.

Odłamki sił nie miały by unieść się, wzlecieć —
więc osiadły tęczowym łukiem na palecie.

W bolesnej głębi pracowń trwa uparta praca:
Złoto do złota, promień niech do słońca wraca.

Przetapiają na promień strzępy tęcz, barw smugi
i cierpią u wzniesionej w czarny krzyż stalugi.

Nie pytają zaklęci źrenicą palety
o serce uwięzionej na podium kobiety.

Muzą jest? — Może dziewką? — Może jasną damą? —
Nie! — Na chłodnej draperji jest gorącą plamą.

FRANCISZEK KONTNY:

PAN WIECZNY STUDENT

Przed iluś tam laty przyjechał z zapadłej prowincji. Na studja. W miasteczku rodzinnem, gdzie dzięki kilku urzędnikom I. instancji istnieje gimnazjum, był chlubą rokującą olbrzymie nadzieje. Po maturze przyznano mu jedyne stypendjum magistrackie kilkudziesięciu złotych. Pieniądze nadchodziły z początku regularnie, później z opóźnieniem. Wreszcie źródełko wyschło zupełnie. Pan student żyje od tego czasu z korepetycji. W wyszarzałym wiechciu na głowie, przypominającym czapkę, w przewincowanym ubraniu, z obowiązkowemi rękawiczkami w ręce, skręconemi w powrósło, nerwowo przebiega ulice, zdążając z jednej lekcji na drugą. Całe popołudnie do późnego wieczora, dzień w dzień, jak w kieracie znarowiona szkapa.

Pozatem żyje na sposób urozmaicony. Wstaje raz wcześniej od swej gospodyni, to znowu, dla odmiany w południe, niczem burżuj. W napadzie humoru przesiaduje w kuchni i opowiada dzieciom bajki. Niestworzone rzeczy, bzdury, ubrane w jasne i błyszczące szaty wesołości. Dzieciskom wydaje się pan student królewiczem, ryczka zamienia się w tron a kuchnisko, pełne stęchlizny i fetoru, przedstawia prześliczną komnatę królewską, w której z pieca jak z kominka rozchodzi się woń odurzających kadzideł. Matka dzieci, karjatyda z powykręcanemi członkami praczki, o ckliwem sercu i złotej duszy, opiera ręce na rozłożystych biodrach i śmieje się śmiechem dudniącym, jak potężny kocioł, toczący się po Chwaliszewskim moście. Hu huhu... ha haha... Piski bachorów i niedojrzały bas pana studenta giną wśród tego śmiechu jak grad wśród ulewy. Mieszkanko rozpiera kipiące życie. — Innym razem sublokator tkwi w swej ciupce. Siedząc na rozklekotanem krześle, przygląda się przez maleńkie okienko lazurowemu kwadracikowi nieba. W ręku trzyma pióro i ciągle wzdycha. Wtedy gospodyni wchodzi do niego na palcach, szepnie dzień dobry i postawiwszy filiżankę lury na stole, znika. Z początku czuła się obrażona tą mrukliwością. Lecz kiedy raz, przyparta ciekawością, zajrzała w jego oczy, przestraszyła się niezmiernie. Cała otchłań smutku czaiła się w tych oczach, że chciałoby się mimo odpychającej grozy spojrzeć głębiej, sięgnąć do dna i wygarnąć na światło, do słońca i życia, wszystkie te tajemnice ukryte. Takie zamiary i chęci rodziły się w sercu zacnej gosposi, która się rzeczywiście nie poważyła na krok konkretniejszy. Najwyżej pozwoliła sobie na ciche westchnienie, przypominające pomruki dalekiej burzy. Potem mawiała do dzieci: „Idzcie do naszego pana, bo jest smutny". A Karolcia i Staś, jak kotki dwa, wślizgują się do „pokoju", czepiają się rąk ich ukochanego pana i próbują swą dyplomacją dziecięcą zwrócić na siebie uwagę. Wiedzą też, że ich niezawodnym atutem jest płacz, którego też tylko w ostateczności używają, chociaż ich to nie kosztuje żadnego wysiłku. Pan student stroszy brwi i stara się spoglądać groźnie. A wtedy pędraki wspinają się już na kolana, tulą umorusane pyszczki do jego uszu i mruczą, piszczą, proszą tak długo, dopóki on nie wstanie i ze swemi djabełkami nie przeniesie się do kuchni. Gosposia oddycha z ulgą i raźniej zabiera się do pracy.

Nawet żebrak ma swoją porę żniw, podczas odpustów. Dla korepetytora czas ten przypada na ostatnie miesiące przed promocjami. Jest wtedy ośrodkiem rodziny. Pan dyrektor częstuje papierosem z nieładnym grymasem na ustach, silących się daremnie na poufały uśmiech. Pani Domu dba o wygodny i zaciszny pokój oraz dobrą kawę. „Bo rozumie pan, chodzi mi koniecznie o to, żeby Lolek właśnie ten jeden raz otrzymał promocję. Na przyszły rok nie mówię. A na wakacje pan wyjeżdża? Bo u nas na wsi znalazłby się przytulny pokoik." Pan student rozumie oczywiście troski łaskawej pani i nie odbiera, broń Boże, całkowitej nadziei. Po lekcji, owiany i odurzony perfumami, opuszcza ten przybytek zbytku. Ciasnemi uliczkami, dla skrócenia drogi, pędzi po wyboistych chodnikach, w cieniu parkanów, groźnie strzegących wiecznie zaspanych wil, widzi nieskończenie długich warsztatów kolejowych, fabryk, podobnych do potworów, sapiących, wypluwających ze złym rykiem syren chmury cichych, spracowanych robotników. — Na drugim krańcu miasta p. radczyni daje przed każdą lekcją te same wskazówki i rady odnośnie reparacji zawsze dziurawych wiadomości z łaciny. „Dziecko moje ma wiele wad, owszem przyznaję. Ale na to już niema rady, gdyż próbowałam je wykorzenić u męża, bezskutecznie niestety. Lecz na szczęście są zalety i talent w pewnym kierunku. Zupełnie jak u mnie". W tem miejscu zastępują wzdychania i iście anielskie spojrzenie w sufit, żeby kamienie mogły zmięknąć. Wnet jednak p. radczyni spostrzega, że to tylko korepetytor. Przybiera więc minę obrażonej Junony i majestatycznie opuszcza pokój, pozostawiając za sobą smugę błękitnego dymu z papierosa. P. student bierze tymczasem swego pupilta w godzinną opiekę. Powtarza się od dawnych czasów wałkowaną III-cią deklinację. Lekcja odbywa się w ten sposób, że po postawieniu pytania i po dłuższem obopólnem milczeniu student sam daje połowę odpowiedzi, szczęśliwy,

---

Konrad Meller:

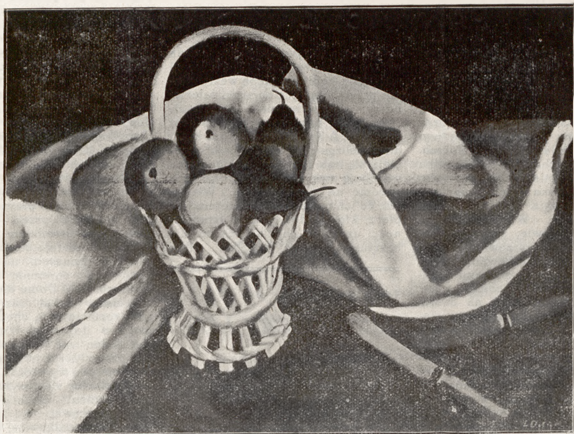
JASKÓŁCZY LOS

Szkarłatna barwa zachodu
cicho się słońcu otwiera —
czarna jaskółka nad wodą
ostatnie promyczki zbiera.
Radosna i trzepotliwa
nad domem wiruje wkółko...
Mała czarno jaskółko!
Codziennie patrzę z zachwytem,
jak łowisz dla dzieci muchy,
wiem gdzie masz gniazdko ukryte
twój domek jest ciepły i suchy.
Wkrótce już piskląt gromadka
z tobą na słońce wyleci,
nie będziesz jak ludzka matka
żebrać dla głodnych dzieci.
Bez końca ciągną się drogi
szare, posępne, jak nędza.
Pod obce i zimne progi
los ludzką matkę przepędza —
tu grosz, a tam nic nie dają...
Od świtu do nocy na dworze,
a dzieci w domu czekają
i głodne są... głodne! moj Boże!
Więc gdy tak nad wodą wkółko
mkniesz goniąc słońca ostatki —
pomódl się mała jaskółko
za ludzkie, za smutne matki.

Alicja Iwańska:

REKOLEKCYJNY WIERSZ

Będziemy się modlić dziecinnie
modlitwą teologiczną,
wmyślimy się w boską śliczność...
— będziemy błagać niezmiennie,
— by w każdej godzinie płynnej
odnaleść z Bogiem styczność,
logiczną, schematyczną,
inną od każdej innej,
półboskiej — półdziecinnej...



LEON DOŁŻYCKI — MARTWA NATURA olej.

jeżeli drugą połowę biedny Zdziś raczy z siebie wystękać.

Na Święta jeździ już tylko bardzo rzadko do domu. Rodzice, z ubożeli i zawiedzeni, że syn ich jeszcze wciąż nie jest niczem, nie potrafią wykrzesać z siebie tej dawnej, serdecznej radości na jego widok. Matka często po kątach popłakuje. Jej łzy niby roztopione krople ołowiu wżerają się studentowi w serce i gryzą niemiłosiernie. Rodzą się w takich chwilach błyskawicznie silne postanowienia, które jednak również prędko bledną i gasną. Tem więcej, że poczucie wiary w siebie i woli kruszeje od lat i wnet się rozpadnie na kawałki rezygnacji i goryczy. — Ojciec rozwija nieprawdopodobną na swój wiek skrzętność i wciąż ucieka z izby. Wynajduje nieistniejące zajęcia w oborze, na podwórzu, w wozowni. Skrabie się nawet na dach swego na biało pomalowanego domku, grzebie coś koło komina i niby naprawia. Wyraźnie unika syna. Raz tylko się ożywił, na któtko. Wtedy, gdy studencisko zabrało się do rąbania. Lecz widząc, jak prędko się męczy, porając się niezgrabnie ze szczapą, ognik w oczach starca zgasł. Zgarbiony przystąpił bliżej, wyrwał synowi siekierę z ręki i zapamiętale machał oburącz, jakby się mścił nad czemś. Wnet po świętach wraca p. student do miasta. Nikt go nie odprowadza ni pyta, jak tam z nauką, czy kończy. Nikogo sobie już nie przypomina ze znajomych, jest obcy dla całego miasteczka. A dla niego? Trudno byłoby mu odpowiedzić, gdzie się czuje więcej swojsko. Tutaj korzenie przywiązania jedne zgniły, reszta została powyrywana. A tam, w mieście? Coś go tam ciągnie. Ale widzi coraz wyraźniej, że to nie silne wrośnięcie drzewa, tylko marna wegetacja. Drzewo wprawdzie jeszcze wypuszcza pędy, lecz owocu mieć nie będzie. Marzenia,bujanie w obłokach.

Przez okna wagonu patrzy pan student na ciche, uciekające w dal miasteczko rodzinne. Szperając w swych uczuciach, znajduje jakąś podnietę coś z żalu za gniazdem rodzinnem, coś z tęsknoty. Wszystko to jednak przysypane grubą warstwą popiołu apatji. Powinien strząsnąć ten popiół, tyle energji jeszcze posiada. A potem dmuchać, całą siłą pracować. Dusza porywa się do czynu, lecz wola jest słaba, zwiędła. — Jedynym ratunkiem byłby jeszcze jakiś wielki przełom życiowy, jakiś wewnętrzny kataklizm, któryby go rzucił choćby na samo dno nędzy, rozbił tę skorupę obojętności. Iskierka, ta lepsza cząstka jego jaźni, jeszczeby się rozpaliła.

Ciężko i coraz ciężej przewalają się myśli przez głowę. Tymczasem pociąg pędzi jak szatan, wlokący swe ofiary do piekła. Zapada zmierzch. Przez szybę widać na tle ciemnego horyzontu brudno-czerwoną zorzę, która powoli rozdziela się na różnokolorowe smugi, strzelające w górę. Wszystko to opasa dołem kilkurzędowy sznur bladych, niepewnie migocących perełek. Miasto się zbliża. P. studentowi się zdaje, że siedzi w wygodnym pokoju klubowym pani radczyni, zapatrzony w wizję swej przyszłości: A więc ukończy studja i zacznie nowe życie! Jakie to proste. Trzeba umieć tylko skoczyć kawałek naprzód, ominąć to trzęsawisko egzaminów wykładów... i już.

„Wysiadać"! kolos - miasto już wchłonął swą ofiarę. On wszystko wchłania, jak wieloryb, wszystko, co przyjdzie w drogę. Ma dosyć miejsca dla dobrych i złych, silnych i słabych. Wystarczy mieć potulny wyraz twarzy i chodzić grzecznie prawą stroną chodnika; a przechodząc przez jezdnię, patrz w lewo, potem w prawo. Naszego pana studenta łatwo poznać, gdy przebiega na przełaj elegancką część miasta, aby się

zaszyć w labiryncie bocznych uliczek. Biegnie szybko, chyłkiem niemal, jak wystraszony zając przez polanę z gąszcza w gąszcz. W podartych butach, w wyświechtanym płaszczu, chód rzeźkiego starca. To on, wykolejona egzystencja, wieczny student, rutynowany korepetytor.

KS. FELIKS GOMOLEWSKI:

KS. ALEKSANDER MARYAŃSKI

(Z CYKLU: ZASŁUŻENI WIELKOPOLANIE)

Na prastarym cmentarzu św. Piotra w Gnieźnie pod czarną marmurową płytą spoczywają zwłoki ś. p. Ks. Aleksandra Maryańskiego. Niewątpliwie należy on do tych wybitnych postaci wielkopolskich, dobrze zasłużonych sprawie, a jednak tak często szerszemu ogółowi bliżej nieznanych. Urodzony 24 lutego 1845 w Gniewkowie na Kujawach, pierwsze nauki pobiera w domu rodzinnym, następnie kształci się w Alma Mater Tremesnensis kończąc edukację średnią w zakładzie naukowym Ks. Koźmiana w Poznaniu. Ten ostatni bardzo dodatnio wpływa na kształtowanie się charakteru młodego Aleksandra.

Zagłębiając się w przebogatej bibljotece koźmianowskiej postanawia zostać księgarzem, tem więcej że do tego zawodu czuł silny pociąg od zarania swej młodości. W tym celu udaje się do Lipska, aby tam odbyć odpowiednie studja. Skoro jednak odczuł, że „księgarstwo" nie znalazło żywego oddźwięku w jego duszy zdolnej raczej do ideałów, aniżeli do rzeczy czysto praktycznych opuszcza Lipsk, by wstąpić do seminarjum duchownego w Poznaniu. Swem przykładnem sprawowaniem się, lotnością umysłu oraz pilnością wyróżnia się pośród innych alumnów. Jako neoprezbyter zostaje kapelanem zakładu Ks. Koźmiana i osobistym sekretarzem jego twórcy. Posiadając znajomość kilku języków obcych jest niezrównanym współpracownikiem Ks. Koźmiana tak na niwie pedagogicznej jak i literackiej. Następnie obejmuje posadę kapelana i prefekta u Sercanek na Wildzie. Po wypędzeniu ich przez Prusaków wraz z zakonnicami wyjeżdża do Lwowa. W tym ośrodku naukowym komunikuje się z poszczególnymi uczonymi. Dość wspomnieć Morawskiego i Kalinkę.

Rażony paraliżem z łzą w oku żegna Gród Orląt, by reszty żywota dokonać na Wzgórzu Zbarskiem w Gnieźnie. A dlaczego tak mało o nim wiedziano? Dlatego, że nie napisał żadnego wiekopomnego dzieła, któreby poruszyło umysły ówczesnego świata naukowego i szerszych warstw społeczeństwa, a dla potomności trwałą pozostało spuścizną. A jednak Ks. Maryański bardzo owocnie pracował na polu literackiem. Spod jego to pióra wychodziły liczne artykuły, krytyki literackie, monografje itp. Wszystkie swe płody wydawał bezimiennie, niekiedy umieszczając pod niemi różne kryptonimy jak B. J. K.; L. G. i J. S. M. (Jan Sylwestrowicz Maryański). Jednakże tak często je zmieniał, że trudno orzec których autorstwo jemu właśnie przypisać. Współpracował z licznemi pismami tak o pokroju politycznym jak i naukowym. Wspomnijmy: Gazetę Kościelną, Przegląd kościelny, Lud, Wartę, Dziennik Poznański. Przez szereg lat redagował we Lwowie Bonus Pastor. Wydał następujące prace: Materyały do historji czci Matki Boskiej w Polsce, Czasy Nerona, Wspomnienia o Słucku, Krzywdy Kościoła pod berłem rosyjskiem, Materyały do dziejów upadku unii diecezji chełmskiej, Gody weselne w Sielcu. Zaś do przedruków i znaczniejszej wagi rękopisów zaliczyć można: Dyarjusz więzienia moskiewskiego Adama Kamieńskiego Dłużyka z rękopisu XVIII w., Matka Bolesna... Ks. Przemysława Domiechowskiego, przeora Cystersów Mogilskich. Dziedzina którą ukochał to bibljografja. I wolno przypuścić, że w Poznańskiem on pierwszy był jej wytrwałym szermierzem. Świetny znawca dziejów wielkopolskich, a jego specjalność to wiek XVII i XVIII. Chętnie udzielą rad uczonym, a również pomocą i wskazówkami służył Ks. Załęskiemu przy stwarzaniu pomnikowego dzieła p. t. Jezuici w Polsce. Znamionowała Ks. Maryańskiego niezwykła skromność z którą szła w parze wielka nieśmiałość w występowaniu na forum publicznem. Ów „mól naukowy" z szlachetną pasją zbiera tomy książek, by częścią swego księgozbioru obdarować klasztor redemptorystów w Mościskach a resztę przekazać Bibljotece Raczyńskich w Poznaniu. Liczne rękopisy badacza uległy zniszczeniu. Znajdowały się bowiem w kanonji brata jego Ks. protonotarjusza Witalisa Maryańskiego w Poznaniu i tam powódź ich nie oszczędziła. Wzorowy kapłan — znakomity uczony zasługuje na miano wielkopolskiego Estreichera.

ADAM DYTKIEWICZ:

LIST Z ZIEMI CZARNKOWSKIEJ

Wielkopolska, poza swoimi „szaremi, równemi polami" posiada kilka charakterystycznych regjonów, z których region nadnotecki, a mianowicie mało znany jego skrawek: ziemia czarnkowska zasługuje na szczególną uwagę.

Plemienną ziemię czarnkowską pokrywały olbrzymie bory i bagnamoczary, wśród których leniwie płynęła szeroko rozlana Noteć. Od zarania dziejów naszych stanowiła ona naturalną granicę pomiędzy Polską a Pomorzem. Wyprawy królów polskich, w celu zdobycia Pomorza zmagały się z wielkiemi trudnościami w przebywaniu bagnistej Noteci, której długi pas, pełen mokradeł, był terenem krwawych walk pomiędzy Polską a Pomorzanami. W celach obronnych budowano tu grody-warownie, ażeby powstrzymać ataki wojowniczych ludów. Takim grodem odporno-zaczepnym był zamek Czarnków. Stąd podejmował Bolesław Chrobry liczne wyprawy na pogan w celu nawrócenia ich do chrześcijaństwa.

Od czasów piastowskich, włada nieprzerwanie ziemią nadnotecką słynny ród Czarnkowskich wywodzący się od książąt pomorskich. Po przyjęciu się chrześcijaństwa ród ten, wybitny udział bierze w życiu naszego narodu i państwa. Czarnkowscy szczególną odznaczali się miłością dla kraju i przywiązaniem do kościoła. Piastowali oni najwyższe urzędy i stanowiska świeckie i kościelne, dali ojczyźnie rycerzy walecznych i mężów uczonych.

Z grodu czarnkowskiego pochodzi słynny historyk Janko z Czarnkowa, najznakomitszy pisarz czternastego wieku, archidjakon gnieźnieński i podkanclerz Kazimierza Wielkiego. Przysłużył się on naszej dawnej historji, pisząc po łacinie kronikę dotyczącą lat 1370—1384.

Stolica tej ziemi — Czarnków przechodziła liczne koleje, bo jako zamek graniczny często musiała zmieniać dziedziców. Po wygaśnięciu rodu Czarnkowskich dostaje się Czarnków na pewień czas w posiadanie króla Stanisława Leszczyńskiego, a następnie nabywa miasto kasztelan Poniatowski, ojciec króla

Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ostatni król polski ujrzal światło dzienne w Biale, dziś po drugiej stronie Noteci.

Po Poniatowskich przejęli ziemię czarnkowską Poraj-Swinarscy, których potomkiem jest obecny ksiądz kanonik Mikołaj Swinarski proboszcz sędziwej kolegjaty czarnkowskiej, pełnej nieprzemijających pamiątek i nagrobków historycznych. Szczególnie wartościowym zabytkiem tego kościoła jest trumna cynowa, w której spoczywają szczątki najdzielniejszego i najsławniejszego Adama Czarnkowskiego, generała Wielkopolskiego. Trumna pochodzi z siedemnastego wieku i jest ozdobiona płaskorzeźbami, które przedstawiaja wypadki dziejowe z życia Adam Czarnkowskiego.

O ile w czasach historycznych miasto przechodziło dzieje niezwykłe — o tyle dziś — żyje życiem cichem, pozostawione samemu sobie. Bo Czarnków dzisiejszy — to przedewszystkiem człowiek z całą swoją dolą i niedolą. Miasto posiada kilka objektów przemysłowych, wytwórni i szereg warsztatów rzemieślniczo-handlowych. Urzędnicze to miasto, boryka się z licznemi trudnościami gospodarczemi, podobnie jak szereg pobliskich jego miejscowości. Zato miasto posiada wszelkie dane, by stać się pierwszorzędnem letniskiem Zachodniej Polski. Tuż przy mieście rozciąga się w swej wspaniałości naturalny park miejski, pełen woni żywicy i leśnych kwiatów. Czarnków okolają z jednej strony wzniesienia (120 mtr. npm.) porosłe świerkami, z drugiej — łąki i Noteć. W mieście jest wiele tanich mieszkań i pokoi, a niezwykły krajobraz: wzgórza, jary, wąwozy, daje letnikom dużo radości i zadowolenia. Okolica Czarnkowa posiada w stosunku do innych okolic kraju, największą ilość dni słonecznych.

Krajobraz tej ziemi jest niezwykle urozmaicony. Jeziora: Lubaskie, Kruteckie i Białe, to najpiękniejsze zakątki nielicznych wycieczkowiczów. Szosa, wiodąca z Czarnkowa do Szamotuł wije się serpentyną między wzgórzami. Okolica ta nosi nazwę „Czarnkowskiej Szwajcarji":

„Gdy tu na góry wejdziesz na moreny, bracie
gdy okiem na faliste lądów rzucisz szczepy,
jary potoków i las, pnący się w błękity,
sądzisz w uludzie, że przed tobą,
Podkarpacie".

tak pisze o „Czarnkowskiej Szwajcarji" Stanisław Helsztyński w swoich sonetach wielkopolskich.

Najbardziej uroczy — to odcinek Czarnków - Bzowo - Goraj: ... „pełen wzniesień przyznasz, żeś w kraj jakiś wpłynął czarodziejski, że wiew tu inny, widok nowy, czar alpejski".

Wielkie połacie ziemi w okolicy Wielenia w czasach Polski przedrozbiorowej były prawie niezaludnione. Ziemia była jałową mało urodzajną i gęsto zalesioną. Przeto książę Sapieha w Wieleniu będący panem tych ziem, sprowadza pod koniec 17 wieku płodne plemię Mazurów i osadza ich na włościach swoich w okolicy Wielenia. W krótkim czasie powstaje tu wiele osad: Drawsko, Rosko, Pęckowo, Piłka i szereg innych. Lud ten dawniejszą puszczę nadnotecką zamienił pracą swoich rąk na rozległe pola uprawne ponadto spełnił wielką rolę dziejową dla Wielkopolski i Polski całej. Bo podejmowane tu próby germanizacyjne na nic się zdały, gdyż twardy chłop zaciekle bronił swej ziemi i wydrzeć nie dał sobie posiadłości. W dzisiejszym powiecie czarnkowskim lud ten zamieszkuje jego połowę zachodnią. Granica na wschodzie przechodzi od Noteci poprzez Gulcz, Hamrzysko do granicy powiatu szamotulskiego. W tym to pasie usłyszeć jeszcze można charakteryst. gwarę potomków Mazurów, chociaż mazurzenie coraz bardziej zanika, ustępując miejsce językowi literackiemu.

Uczeni twierdzą, że gwara wieśniaków z czankowskiego — to szczątki dawnej mowy Pomorzan, którzy zamieszkiwali dolinę Noteci. Po chatach zachowały się dotąd liczne obrzędy, zwyczaje, wierzenia, przesądy, baśnie i moc legend. Jedną z nich przytaczam: kiedyś w wiekach średnich na północnym zachodzie od Czarnkowa stał klasztor św. Jana. Zakonnicy tego klasztoru byli nielubiani przez okolicznych mieszkańców. Pewnego razu urządzili w klasztorze zabawę i upiwszy się (a pili z kielichów kościelnych) poczęli bluźnić Panu Bogu. O północy wzmogła się niezwykła burza z piorunami. Nazajutrz ujrzeli ludzie zamiast klasztoru — wzniesienie nakształt wielkiej mogiły, którą po dziś dzień można oglądać.

Pospolitemu turyście zdawać by się mogło, że ziemia czarnkowska to tylko piękny, a odrębny krajobraz Krainy Wielkich Dolin.

Ziemia ta, jest istotnie ze wszech miar ciekawą. Obfituje naprzykład w rzadkie okazy ornitologiczne. Gnieżdżą się tu bowiem ptaki, niespotykane w innych regjonach Wielkopolski a mianowicie: kulik większy, derkacz, tracz nurogęś i szkodliwy dla rybołostwa kormoran. Żórawie, spotyka się na tutejszych łąkach podczas przelotów. Natomiast osobliwość powiatu stanowi bocian czarny, gnieżdżący się w wilgotnych lasach Drawska. Dziś, spotyka go się nader rzadko. Z ptaków drapieżnych wymienić trzeba sokoły, białozory i różne gatunki sów.

Flora tego charakterystycznego skrawka Wielkopolski przedstawia się również ciekawie. W okolicy Miały i Piłki spotkać można brzozę karłowatą i rosiczkę długolistną, a w okolicy Wielenia rośnie: Żórawina, wełnianka i sosnoweczka. Niegdyś bardzo pospolitą była manna jadalna (Glyceria fluitans), roslina z rodziny trawiastych, Rosła sobie nad Notecią, i dostarczała pożywienia ubogiemu ludowi nadnoteckiemu w postaci ziaren, mających smak słodkiej kaszy. Niestety przez regulację Noteci 1897 r. wyginęła zupełnie.

Noteć, jest dziś najsprawniejszą drogą wodną w Polsce. Liczne śluzy sprawiają, że woda z Noteci służy do nawadniania łąk, stąd też siano nadnoteckie słynie z swej jakości. Liczne pokłady węgla brunatnego, torfu, i żwiru z Sarbji zaopatrują w materjał niemal całą Wielkopolskę.

Ziemia czarnkowska posiada kilkadziesiąt cmentarzysk słowiańskich, z których największe znajduje się w okolicy Roska, Białężyna i Mikołajewa. Wykopane tu narzędzia i sprzęt dały nauce polskiej najbardziej wymownych świadectw o kulturze i życiu Słowian — najdawniejszych mieszkańców tej ziemi. — Na ziemię tę stanowiącą niezmiernie bogate źródło motywów i tematów dla artysty malarza, literata i przyrodnika trzeba zwrócić baczniejszą niż dotąd uwagę. Bo mimo tylu ciekawych rysów i właściwości regjonalnych, — ziemia czarnkowska jest nienależycie wyzyskana dla propagandy polskiego krajoznawstwa. Przypisać to należy brakowi zrozumienia słów poety: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie".

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.